

ABSTRACT. Przybylski Ryszard K., *Small talk* [Small talk]. „Przestrzenie Teorii” 26. Poznań 2016, Adam Mickiewicz University Press, pp. 175-183. ISSN 1644-6763. DOI 10.14746/pt.2016.26.11.

The poem *Small talk* conjures up a communicative situation in which the main character, a newcomer from Poland, answers conventional questions related to their country. Bearing in mind the fact that this poem is set during a military dictatorship, superficial interest in his homeland may trigger a feeling of impatience. This is at least the impression formed if we adopt the perspective defined within the romantic tradition, and when taking into account the conventional poetry of martial law in Poland. Nevertheless, Barańczak retains an ironic distance towards such communicative situations and, as a consequence, does not create poetry that meets most readers' expectations. His poetic imperative for verbal art to be the expression of mistrust remains valid.

„Jak Się Masz, Mam Się Dobrze” – Czy można udatniej rozpocząć wiersz noszący tytuł *Small talk*? Oto pytanie i niezobowiązująca odpowiedź, bo przecież nie o faktyczne samopoczucie, a już tym bardziej o stan zdrowia czy realne interesy tu chodzi. W istocie rzecz sprowadza się tylko do zainicjowania rozmowy, do znalezienia płaszczyzny porozumienia. Co, skądinąd, nie znaczy wcale, że dalszą konsekwencją tego faktu byłoby podjęcie bardziej istotnych problemów. W końcu to taka rozmowa o niczym.

Początek *Small talk* koresponduje z innym wierszem pomieszczonym również w tomie *Atlantyda*¹, zatytułowanym *Garden party*. Nie wchodzi on, co prawda, do wyodrębnionego w tomie cyklu nazwanego właśnie *Small talk*, ale, bez wątpienia, pozostaje w związku ze składającymi się nań utworami². Zatem i tu, w *Garden party*, mamy do czynienia z dialogowaniem, którego celem pozostaje właśnie podtrzymywanie kontaktu, a nie dyskusja na określony temat. A przecież hasłem wywoławczym nie jest już tylko kwestia samopoczucia, ale Polska. „I co też się dzieje / ostatnio w Polsce?” – oto powtarzane pytanie, na które nie oczekuje się bynajmniej odpowiedzi. Gdyby zaś znalazł się ktoś bardziej natrętny i, nie daj Boże, chciał zgłębiać temat, wówczas spotka się z ripostą: „No nie, wybacz, Sally, / zamęczasz pytaniami...”.

¹ S. Barańczak, *Atlantyda i inne wiersze z lat 1981–1985*, Londyn 1986. Dalej przytoczenia za: S. Barańczak, *Wiersze zebrane*, Kraków 2014; *Small talk*, WZ, s. 309.

² Na wyodrębniony cykl *Small talk* składają się wiersze, które wzajem się dopełniają i komentują. Stąd też traktuję je jako kontekst wiersza pod tym samym tytułem, kontekst konieczny do przywołania w interpretacji tego pojedynczego utworu.

Wtedy, w latach 1981–1985, a z tego okresu pochodzą właśnie przywołane wiersze, temat Polski, obojętne czy w kraju, czy za granicą, obligował do postawy serio. W efekcie wykorzystanie nazwy ojczyzny jako pretekstu do niezobowiązującej rozmowy mogło wywoływać gest zniecierpliwienia, mogło też zostać uznane za niewybaczalny nietakt. Wtedy zaś łatwo stawało się pretekstem, jeśli już nie do świętego oburzenia, to przynajmniej sarkastycznej drwiny. Skądinąd głęboko osadzonej w naszej tradycji, co zresztą Barańczak aktualizuje, dołączając, jako motto, słowa z *Ostatniego despotyzmu* Cypriana Kamila Norwida: „Pomarańcza, jak widzę, z Malty – wyśmienita!”. W tej perspektywie daje o sobie znać ciągle ten sam brak zrozumienia połączony z ignorancją.

A według wielu oczekiwać należałoby raczej prawdziwego spotkania, w czasie którego winno pochylić się z troską nad spacyfikowanym krajem. O takim spotkaniu właśnie pisał pod koniec lat siedemdziesiątych Józef Tischner: „Spotkać, znaczy coś więcej i coś innego niż zobaczyć, usłyszeć, podać rękę”. I na pytanie „Co znaczy spotkać?” odpowiadał: „Spotkać to osiągnąć bezpośrednią naoczność tragiczności przenikającej wszystkie sposoby bycia Drugiego”³. I dalej, przywołując Maxa Schelera, precyzował pojęcie tragiczności: zagrożenie jakiegoś dobra przez jakieś zło i wynikające stąd wezwanie do ocalenia.

Dziś podobne sformułowania wydają się aż nadto patetyczne, zbyt wzniosłe. W ustach autora późniejszej *Etyki Solidarności* brzmiały jednak zupełnie inaczej i znajdowały nie tylko pełne zrozumienie. Były wręcz pożądane. I trudno się temu dziwić, ostatecznie bowiem stanowiły etyczny fundament sporu z panującym systemem władzy. Także później, a zwłaszcza po wprowadzeniu stanu wojennego podobny ton, nad miarę wzniosły, niebywale się rozpowszechnił i przeniknął do wielu wypowiedzi, skądinąd także literackich. Tak więc polskość definiowano jako wartość bezwarunkową. Stąd zaś jakakolwiek postać jej lekceważenia, nawet zdawkowe traktowanie, zasługiwały na odpór, na wystawianie do walki o honor najcięższych armat. Ożywał obraz samotnej ojczyzny, porzuconej, w obliczu zagrożenia, przez sojuszników. Dowody na podobne imaginacje znaleźć łatwo w tekstach drukowanych wtedy w pismach bezdebitowych lub w dokumentacjach wystaw w salkach przykościelnych. I tam właśnie, żywiono nadzieję, spełniać się miała obietnica prawdziwego spotkania. W lekceważeniu sprawy polskiej zaś czaić się miało zło.

Czas stanu wojennego, a także okres późniejszy, przynajmniej do połowy lat osiemdziesiątych, wypełniony został podobnymi deklaracjami.

³ J. Tischner, *O człowieku. Wybór pism filozoficznych*, wyb. i oprac. A. Bobko, M. Kozak, Wrocław 2013.

Nie służyło to jednak poezji. Ona sama traktowana była bowiem jako głos zniewolonego społeczeństwa, czego, skądinąd, od niej oczekiwano. Jednakże wychodzenie naprzeciw podobnym wymaganiom kończyło się z reguły artystycznym niepowodzeniem. W większości wypadków powielano sprawdzone już strategie poetyckiego mówienia, sięgające korzeniami tradycji romantycznej i poezji lat wojny i okupacji⁴. Taką wydawała się cena, jaką przyszło płacić za mówienie, nie swoim, indywidualnym, lecz cudzym, bo wspólnotowym głosem. W tej perspektywie *Przywracanie porządku* Barańczaka, wiersz o wprowadzaniu stanu wojennego, kończy się w sposób wręcz proroczy. Oto pojemnik z gazem, który doleciał aż do Ameryki, zostaje przez bohatera lirycznego odrzucony z powrotem. Współodczuwanie z dotkniętymi nieszczęściem nie musi więc iść w parze z powtarzaniem za nimi tych samych gestów. Dla poety ważne pozostaje zaś uwolnienie się od obowiązku występowania w chórze śpiewającym w tej samej tonacji. Zresztą, bycie poza krajem stanowiło tu też fundamentalną przeszkodę. Ale znaleźć łatwo i inne równie ważne powody. Nie trzeba w tym miejscu przypominać, że Barańczak nigdy nie miał skłonności do zachowań stadnych, w tym także do wchodzenia nie w swoją dykcję poetycką. Nic zaskakującego więc, że wiersze o umęczonej ojczyźnie nie mogły znaleźć u niego zrozumienia.

Łatwo odnieść wrażenie, że Barańczak na początku lat osiemdziesiątych stanął przed koniecznością określenia swej poetyckiej drogi. Okoliczności zewnętrzne bowiem w sposób jednoznaczny zdawały się na to wskazywać. Stąd możliwe pytania: czy będzie kontynuować swój poetycki projekt, czy też wymyśli go od nowa? A może pójdzie śladem Kazimierza Wierzyńskiego, który na zesłaniu początkowo pozostawał wierny sprawom krajowym i stowarzyszonemu z nim podniosłemu językowi, a dopiero później, od *Korca maku* zaczynając, odnowił warsztat poetycki i wprowadził do swoich wierszy tematy związane z amerykańskimi realiami?

Nie ulega wątpliwości, że pobyt w Stanach nie pozostawał bez wpływu na twórczość poetycką Barańczaka. Ale warto odnotować, że zmiana nie dokonała się w niej ani w sposób szybki, ani automatyczny. Wtedy, na początku lat osiemdziesiątych, trudno jeszcze mówić o jakimś zasadniczym przeobrażeniu poezji. Daleko więc było Barańczakowi do powtarzania doświadczeń autora *Krzyży i mieczy*. Ale też nie stawał on przed wyborem: kontynuować czy nie kontynuować poezję stanu wojennego, ponieważ nigdy wierszy w dominującej wtedy, nie tylko w kraju, konwencji nie pisał. Nie musiał więc z niczym, co by go krępowało, zrywać. Ponadto, poezja, jaką do tej pory uprawiał, wpisująca się w konkretne sytuacje społeczno-polityczne, mogła z łatwością odnaleźć się również

⁴ Por. D. Dabert, *Zbuntowane wiersze. O języku poezji stanu wojennego*, Poznań 1998.

w nowych kontekstach. Idea dialogowości sztuki słowa, o którą upominał się jeszcze w książce o *Języku poetyckim Mirona Białoszewskiego*, a którą udatnie stosował przecież w swoich wierszach, pozwalała żywić przekonanie, że zasadniczo nie musiał modyfikować swego poetyckiego projektu. Wystarczyło jedynie go poszerzyć. Wcześniej jednak należało się zdystansować wobec praktyk wierszotwórczych upowszechnionych w kraju: czyli mniej patosu, lamentacyjnego tonu oraz przyjmowania roli ofiary. I, co za tym idzie, rezygnacja z obciążania innych własnymi klęskami albo z oskarżania ich o brak zrozumienia. Jeśli zatem pojawi się w wierszach Barańczaka przybysz stamtąd, który może odnosić wrażenie, że tubylcy okazują brak zrozumienia dla losu nieszczęśliwego narodu, z którego pochodzi, to towarzyszyć temu będzie ironia. Ironia, która dosięgnie zresztą obie strony tej komunikacyjnej relacji. W końcu ciągłe dopraszanie się o należną uwagę i współczucie okazuje się daleko idącą przesadą. Ale też problemy sytego społeczeństwa, gdy wokół tyle niesprawiedliwości, tak samo nie mogą znaleźć akceptacji.

Czy istnieją tedy podstawy, aby innych obarczać winą za własne niepowodzenia? Czy zasługuje na kpinę *Naród, któremu się lepiej powiodło*, żeby przywołać w tym miejscu wiersz pod tym właśnie tytułem? Bez wątpienia, mając na uwadze opresję, jakie dosięgły społeczność stanu wojennego, problemy, z jakimi zmagają się przedstawiciele innych społeczności, wydają się wręcz trywialne. Zestawmy obok siebie, na przykład, internowanie z takimi niedogodnościami, jak:

trądzik młodzieńczy, egzamin, od którego wszystko zależy
skandaliczny koszt studiów, niezrozumiąły fakt,
że Jane z drugiego roku udaje obojętność.

(*Naród, któremu się powiodło*, WZ, s. 300)

Ale z drugiej strony... Czyż ten przybysz z nieszczęsnego kraju, nie wydaje się tutaj, za Atlantykiem, równie śmieszny? Zwłaszcza gdy weźmie się pod uwagę przymioty, jakie wykształcił w walce z autorytarnym systemem:

ja, ekspert na skalę wschodnioeuropejską w kwestii odmowy zeznań
i mówienia między wierszami,
wielokrotny mistrz osiedla w konkurencji zdobywania miejsca w kolejce,
rekordzista województwa w godzeniu się z losem na bliższą i dalszą metę
dyplomowany specjalista w dziedzinie czekania na autobus

(*Résumé*, WZ, s. 298)

Dlatego też Barańczak nie podejmował żadnej z ról, które dłuższy pobyt za granicą wiązałyby z wygnaniem. Wszak znalazł się w Ameryce z wyboru, a nie z konieczności: „bo z każdą chwilą wybiera się inne życie” –

jak spuentował wiersz *Nie używać słowa „wygnanie”*. Zresztą, dość szybko człowiek przyzwyczaja się do odmiennego otoczenia i towarzyszącego mu stylu życia: „Po paru dniach oko się przyzwyczaja [...] Po paru tygodniach przyzwyczaja się ręka [...] Po paru miesiącach nawet język umie układać się w ustach [...] Po paru latach śni się sen [...]” (*Druga natura*). Nawet utrata bezpośredniego kontaktu z żywiołem polskiej mowy, co zwykło się powszechnie uważać za duży dyskomfort dla poety, nie wydaje się w jego przypadku, specjalną niedogodnością. Nie sądzę więc, że Barańczak podpisałby się pod słowami Józefa Wittlina z *Blasków i nędz wygnania*: „Wykorzenienie pisarza z ziemi, na której dłużej czy krócej żył w symbiozie z językiem tej ziemi, może być okrutnym gwałtem. Odcięcie od rodzinnego pnia odczuwają boleśnie nawet pisarze, przebywający poza swym krajem czasowo i dobrowolnie”⁵. Sytuacja poety w latach osiemdziesiątych nie przypomina bowiem w niczym tej, w jakiej znajdowali się emigranci wojenni i powojenni. Jak zasadniczo różniło się ich otoczenie medialne, w którym przebywali! I chociaż lata osiemdziesiąte stają dopiero u progu komercjalizacji netu, to jednak lokują się już w świecie globalnej informacji. Sytuacja ta nie przeszkadzała, skądinąd, wielu twórcom przebywającym wtedy na obczyźnie powtarzać emigracyjnych zaklęć z czasów wojny. Nie dotyczyło to jednak Barańczaka. Dla niego nowe sytuacje egzystencjalne stwarzały nowe sytuacje liryczne. To właśnie stąd brała się choćby potrzeba określenia na nowo własnej tożsamości. Pozorna perspektywa wygnania pozwalała rozpoznać, iż rozchodzenie się, oddalanie od innych w rzekomej wspólnocie dokonywało się już dużo wcześniej, bo kilkadziesiąt lat przedtem, w kraju:

[...] byliśmy już wtedy, przecież
– osiemnaście, dwadzieścia lat temu? zresztą, to obojętne
z kim, kiedy i czy naprawdę na rogu Libelta i placu
Młodej Gwardii – jak dwa cal po calu rozsuwające się kontynenty
(*Atlantyda*, WZ, s. 305)

„Rozsuwające się kontynenty” to nieustanny proces różnicowania, który idzie w parze z rozwojem świadomości. Początkowo: „To, co nieokreślone, jest całkowicie niezróżnicowane, ale równie niezróżnicowane są wobec siebie nawzajem oderwane określenia”⁶ – jak pisał Gilles Deleuze. Potem jednak ustanawia się różnicę, wskutek czego to samo przestaje być tym samym. Na podobnej zasadzie pobyt na obczyźnie

⁵ J. Wittlin, *Blaski i nędze wygnania*, [w:] tenże, *Orfeusz w piekle XX wieku*, Paryż 1963, s. 143-144.

⁶ J. Deleuze, *Różnica i powtórzenie*, przeł. B. Banasiak, K. Matuszewski, Warszawa 1997, s. 63.

trudno uznać za wygnanie, zważywszy na fakt, iż poczucia wyobcowania i własnej odmienności doświadczyło się już także w kraju.

W *Atlantydzie* doświadczenie różnicy dochodzi do głosu w wyniku przytoczenia cudzej mowy, monologu fryzjera („Tak samo jeden porucznik, co żeśmy / go mieli w wojsku...” – *Atlantyda*). Ale też właśnie w mowie uzewnętrznia się i przedmiotowa, i podmiotowa rzeczywistość, czyli: co i kto mówi, albo inaczej: obraz świata i własne w nim miejsce. W swej krajowej twórczości szczególną uwagą obdarzył Barańczak język oficjalnej propagandy kneblującej usta wszystkiemu, co prywatne. W ten oto sposób ujawniał zniewolenie jednostki i jej dobrowolną degenerację wskutek rezygnacji z własnej indywidualnej mowy. Rezygnacja z niej prowadziła zaś do konstruowania skłamanego tożsamości. Poczucie indywidualnej wolności wiąże się zaś z prawem do posiadania własnego, prywatnego języka.

W nowych amerykańskich realiach, już po zdystansowaniu się wobec patetycznych bogoojęczyźnianych imperatywów, prywatność języka mogła więc hulać bez ograniczeń. Tym bardziej że wszystko wokół pozostawało zanurzone w języku angielskim. I w przynależnych jemu uzusach. No właśnie... i to są okoliczności, które stanowią dla Barańczaka poety wyzwanie. Bo polski nie istnieje w izolacji, lecz nieustannie spotyka się z drugim językiem. I takie, na przykład, *small talk* domaga się jakiejś określonej reakcji. Choćby stwierdzenia, że w jednym języku pozostaje w pełni zasadne, w drugim natomiast – niekoniecznie. Nie powinno więc dziwić, że *small talk* przypominać może rozmówki języka angielskiego. Skądinąd jednak odniesienie do rozmówek zaktualizować się da wobec każdego wyuczonego języka. „Celem jest mówić płynnie, choć w języku, który / do końca będzie obcy” – rozpocznie Barańczak swój wiersz *Ze wstępu do rozmówek* (WZ, s. 310). Oto standardowe wymagania. Płynność stwarza złudzenie zadomowienia w języku. Sprzyja powierzchownej komunikacji, ale nie wyrażaniu głębi myśli. Barańczak, charakteryzując ową potoczność, przywołuje bogactwo metaforycznych określeń, które stanowić mogą semantyczny ekwiwalent wodolejstwa, którego celem jest zawsze oczarowanie słuchaczy:

[...] Rzecz w tym, żeby
pozwolić im się przemknąć jak na wodnych nartach
przez sztuczny staw rozmowy, cokolwiek jest warta
jej głębia po kolana; aby bez potrzeby
nie hamować ich zjazdu po zjeżdżalni słów
w brodzik porozumienia, gdy rozmowa będzie
sportem wodnym [...]

(*Ze wstępu do rozmówek*, WZ, s. 310)

Bez wątpienia podobnymi popisami można robić furorę na niejednym spotkaniu towarzyskim. Choć warto dopowiedzieć, że to również konsekwencja faktu, „że się / nie opłaca z kimś schodzić pod powierzchnię słów”. Że w gruncie rzeczy bądź nie ma się nic ciekawego do powiedzenia, bądź też drugi to nie ten, o którym pisał Tischner. I, w konsekwencji, do żadnego prawdziwego spotkania dojść nie może.

Ale *garden party* trwa nadal. I toczą się niezobowiązujące rozmowy. Gospodarze zaś troszczą się o dobre samopoczucie gości. „Jak Się Masz, Mam Się Dobrze”. Podobne pytania i odpowiedzi plenią się bez ograniczeń. Po czasie bohater wiersza *Small talk* musi czuć się podobnymi zaczepkami słownymi zniecierpliwiony. Nie brylując towarzysko, czyli nie przemykając się „jak na wodnych nartach przez sztuczny staw rozmowy”, pograża się w zadumie i rozpoczyna monolog wewnętrzny: „kto mówi, że nie ma / mowy o jakiegokolwiek rozmowie między nami”. Nie koncentruje jednak swej uwagi na uczestnikach spotkania, ale na otaczającym świecie. I w gruncie rzeczy cały ten zestaw komentarzy, jakimi można obdarzyć zjawisko zwane *small talk* przenosi na własne relacje z zewnętrzną rzeczywistością. Tak, to bez wątpienia potrzeba odpowiedzenia na pytanie o własną tożsamość. Nowe przestrzeń, ludzie, kontekst kulturowy – wszystko razem domaga się opowiedzenia na nowo samego siebie. Czy jako przybysz z innego kontynentu czuje się tutaj obco? Czy pozostaje zagubiony? Czy ten świat może stać się jego światem?

Sformułowanie odpowiedzi na podobne pytania nie nastęcza mu żadnych trudności. Bo też murek z szarego kamienia, drżenie ramy okiennej, plama oleju na asfalcie to nie poszlaki zwiastujące jakiegokolwiek zagrożenie. Podobnie: hydrant, mgła, schody, zgrzyt, gałęzie – nie wpisują się w konwencję horroru. Można by rzec, iż to elementy rzeczywistości, jakich wiele, które wchodzą w przestrzenne i czasowe relacje z reflektującym nad własną tożsamością bohatera wiersza. Oczywiście zdarzyć się może, iż także te elementy świata dosięgnie paroksyzm szaleństwa, jak w *Po przejściu huraganu „Gloria”*, ale szybko wszystko wraca do normy:

Po kilku godzinach popisów wichura przekonała
Samą siebie, że nie ma sensu produkować się na trzech kanałach
W przerywanych reklamami reportażach z terenów zniszczeń
(*Po przejściu huraganu „Gloria”*, WZ, s. 322)

Nic zatem nie stoi na przeszkodzie, aby nawiązać nić porozumienia z elementami otaczających realiów, włączyć się do dialogu z nimi. Bo świat właśnie jest gospodarzem przyjęcia, na które zostaliśmy zaprosze-

ni. I podczas którego prowadzimy niezobowiązujące rozmowy: „Co Słysząc Wszystko W Porządku”. Bohater wiersza swe doświadczenie krótkiego pobytu za Atlantykiem projektuje na ludzką egzystencję na ziemi. I, bez wątpienia, wizyta na takim przyjęciu jest zdecydowanie za krótka. Za krótka, aby wyjść poza powierzchowność spotkania i zadomowić się w świecie. Stąd znamienna konstatacja:

[...] nie jest przyjęte, aby się zbytnio wynętrzać
w wymianie zdań ze znanym od tak niedawna światem
że zresztą, choćbym nawet chciał, i tak nie zdążę
wyjść w tej krótkiej rozmowie poza I Jak Tam, Niezgorzej
(*Small talk*)

Czyżby więc bohater wiersza pogodził się z losem? I po latach buntu i sprzeciwu przyjął świat, jakim jest? Dorósł więc do wieku, z perspektywy którego patrzy się już z dystansem na „młodość górną i durną”? Dojrzałość to czy eskapizm? Wina wieku czy Ameryki? Żadna z tych rzeczy. Wnioski, jakie płyną z wiersza *Small talk*, zdają się im wszystkim razem zaprzeczać. W istocie *party* wymaga swoistej beztrioski i bezinteresownej konwersacji. Komunikowanie się gra tutaj pierwszorzędną rolę. I łatwo dojść do przekonania, iż taki cel winno się realizować także na co dzień. Tym bardziej że kultura popularna, zwłaszcza w Stanach, właśnie podobne wzorce od dawna już upowszechniała i nadal upowszechnia. Efektywność komunikowania decyduje o jakości i skuteczności egzystencji. Przy czym komunikowanie to szerokie spektrum, bowiem zaliczyć trzeba do niego nie tylko mowę, ale i sposób chodzenia, ubierania się itp.

„Powinna być nieufnością”. Tak rozpoczął Barańczak swój manifest „Parę przypuszczeń na temat poezji współczesnej” z lipca 1970 roku. I jak się okazuje ten poetycki imperatyw bycie nieufnym, nie stracił wcale na znaczeniu. Nieufność bowiem skierowana być może nie tylko wobec języka propagandy, ale także wobec wszelkiej postaci komunikacyjnej powierzchowności.

Na koniec chciałoby się zadać pytanie „Cóż po poecie?”. Czy wszystko, co pozostaje, to nieufność właśnie? Otóż w poezji Barańczaka pojawia się w końcu, na początku lat osiemdziesiątych, nowa jakość. Skonstatuje on mianowicie, że skoro nasz pobyt na ziemskim *party* wydaje się za krótki, a świat bez względu na to, jak będziemy się go kurczowo trzymać i tak zostanie nam odebrany, to jednak pozostaje możliwość jego ocalenia w słowie:

I wiesz – choć się zwęzi w język –
w cztery kąty kartki –

w krzywy liter węzyk –
wiesz dobrze – że i tak warto

ocalić go...

(*Pięć pocztówek od i do Emily Dickinson*, WZ, s. 314)

Zapewne nieprzypadkowo pojawiają się w tomie *Atlantyda* wiersze, które przywołują czasy dzieciństwa. To zamknięte w słowie okruchy świata. Bo poeta może uczynić tylko tyle. Albo aż tyle. A mimo to ów rzemieślnik słowa nie uniknie stanu podejrzenia (por. *Strofa z Roberta Frosta*). Jego słowa zaś obejmie kłamra ironii.

BIBLIOGRAFIA

Barańczak S., *Wiersze zebrane*, Kraków 2014.

Dabert D., *Zbuntowane wiersze. O języku poezji stanu wojennego*, Poznań 2009.

Deleuze J., *Różnica i powtórzenie*, przeł. B. Banasiak, K. Matuszewski, Warszawa 1997.

Tischner J., *O człowieku. Wybór pism filozoficznych*, wyb. i oprac. A. Bobko, M. Kozak, Wrocław 2013.

Wittlin J., *Blaski i nędze wygnania*, [w:] J. Wittlin, *Orfeusz w piekle XX wieku*, Paryż 1963.

